

DEKLARACJA POKOJU HOPIÓW

Jest mocą Prawdziwego Ludu Hopiów zjednoczyć umysły i dusze wszystkich prawdziwie miłujących pokój ludów Ziemi...

HOPI oznacza "Ludzie Pokoju", a najprawdziwszą i największą mocą jest siła pokoju - bowiem Pokój jest Wola Wielkiego Ducha...

Nie sądźcie jednak, że tylko dlatego, że Wielki Duch przykazał Prawdziwemu Ludowi Hopiów, aby nigdy nie podnosił broni, Prawdziwy Lud Hopiów nie będzie nigdy walczył... a nawet umierał za to, o czym wiemy, że jest prawdziwą Drogą Życia.

Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak walczyć bez zabijania i ranienia. Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak walczyć wspólnie Prawdą i Pozytywną Siłą w Świecie Wielkiego Ducha... Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak Uczyć za pośrednictwem czystych myśli, dobrych obrazów... i przez ostrożnie dobierane słowa...

Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak ukazywać wszystkim Dzieciom świata Prawdziwą Drogę Życia, dając przykład... pracując i jednocząc się w sposób, który dociera do umysłów i serc wszystkich ludzi, którzy naprawdę poszukują metod prostego i duchowego życia - jedyne życie, które przetrwa...

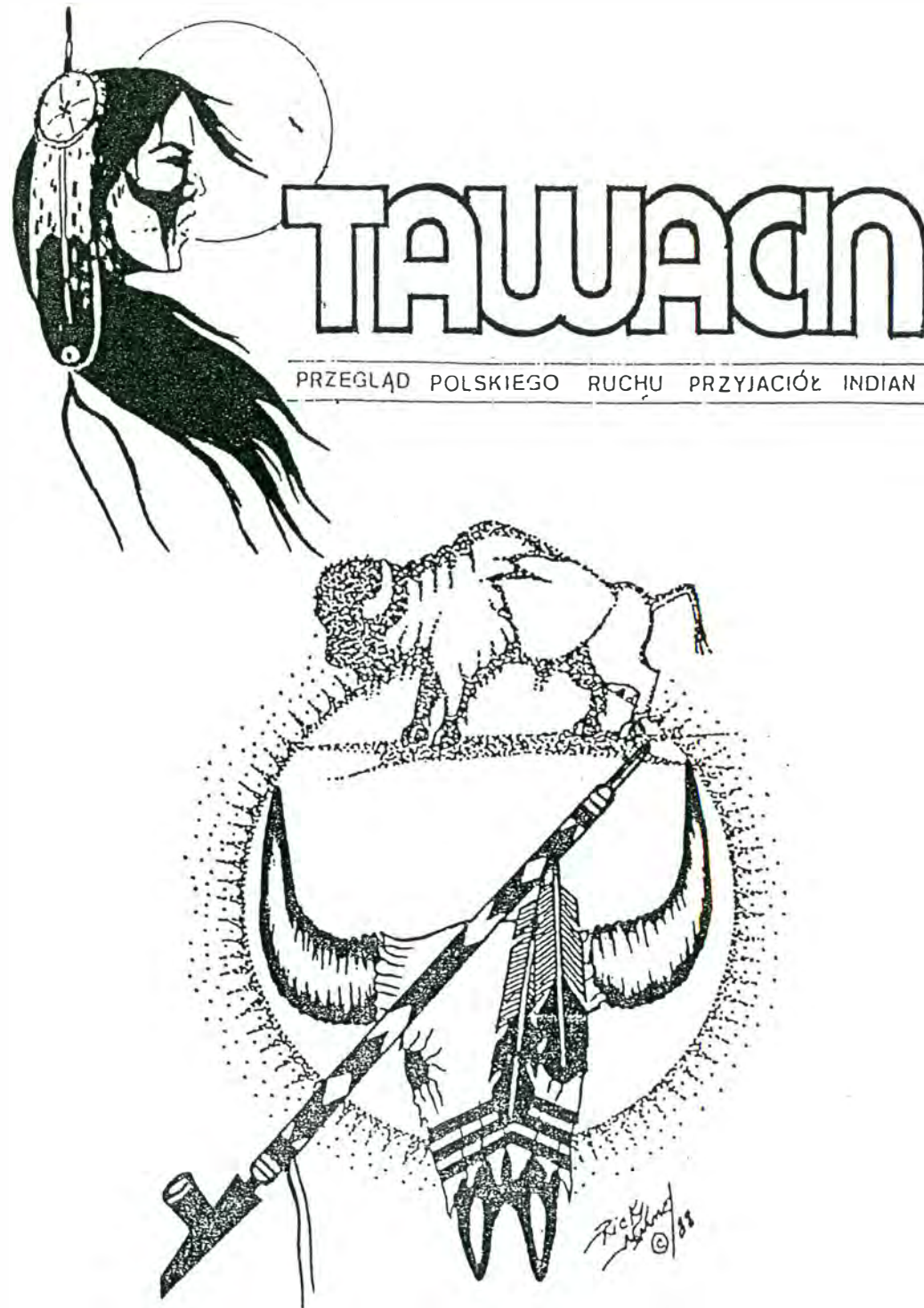
PRAWDZIWY LUD HOPIÓW PRZECHOWUJE ŚWIĘTĄ WIEDZĘ O DROGACH ZIEMI, BOWIEM PRAWDZIWY LUD HOPIÓW WIE, ŻE ZIEMIA JEST ŻYWA... ROZWIJAJĄC SIĘ OSOBA... I ŻE WSZYSTKIE RZECZY NA NIEJ SĄ JEJ DZIEĆMI...

Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak demonstrować Prawdziwą Drogę Życia wszystkim ludziom świata, którzy mają uszy do słuchania... którzy mają oczy do patrzenia... i którzy mają serca do zrozumienia tych rzeczy...

Prawdziwy Lud Hopiów Wie, jak wytworzyć wystarczającą Moc do połączenia sił umysłów i dusz wszystkich Prawdziwych Dzieci Ziemi... i jak zjednoczyć je z Pozytywną Siłą Wielkiego Ducha tak, aby mogły położyć kres nieszczęściom i przesładowaniom we wszystkich nieszczęsnych miejscach tego świata...

PRAWDZIWY LUD HOPIÓW DEKLARUJE, ŻE MOC HOPIÓW BĘDZIE SIŁĄ, KTÓRA SPOWODUJE ŚWIATOWE PRZEMIANY.

Thomas Banyacya, rzecznik
Tradycyjnych Przywódców Prawdziwego Ludu Hopiów mn



Od wydania poprzedniego numeru TAWACINU upłynęło kilka miesięcy, a rzeczywistość nadal skutecznie rozwiewa wiele wspólnych nadziei i indywidualnych ambicji. Bywają jednak na szczęście i powody do zadowolenia. A przykłady?...

Np. dwunasty numer naszego "Przeglądu" będzie co najmniej dziesięciokrotnie droższy od drugiego. Wciąż jednak jest to równowartość zaledwie dwóch butelek piwa lub 1/10000 ceny poloneza. Dlatego wierzymy, że znajdą się czytelnicy, którzy co kilka miesięcy zdobędą się na taki wydatek i - nie będą tego żałować.

Nie wszystkie też niespodzianki XIII Złotu PRPI okazały się tak miłe, jak tego oczekiwaliśmy. Stał się on jednak miejscem prezentacji kilku - znaczących być może, choć póki co niezbyt docenionych - inicjatyw, jak również pretekstem do trwającej - między innymi na naszych łamach - dyskusji.

Co prawda nie wszystkim powiodły się letnie plany "indiańskich spotkań" za granicą, ale mimo to podtrzymaliśmy naszą obecność w europejskim kręgu solidarności z Indianami, tradycje spotkań z naszymi przyjaciółmi w NRD i związeki naszych ludzi z Meksykiem. Nie brakuje także nadziei na dalsze kontakty korespondencyjne i osobiste. Pierwsze ich efekty widać już na następnych stronach.

Nie udało się narazie doprowadzić do zarejestrowania Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian, bowiem sąd w Białymstoku odesłał dokumenty do uzupełnienia (chodzi min. o sprecyzowanie celów działania). Wierzymy jednak, że inicjatorom PSPI nie zabraknie niezbędnej cierpliwości i życzliwości otoczenia.

Kiedy w 50. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej zapowiadano przyjazd do Warszawy przedstawicieli "wszystkich największych religii świata", spodziewaliśmy się, że - podobnie jak to miało miejsce podczas pierwszego Światowego Dnia Modlitw o Pokój w Asyżu - znajdą się wśród nich także delegaci tubylczych Amerykanów. Niestety, z nieznanych nam przyczyn stało się inaczej. Niech więc symbolicznym potwierdzeniem ich wkładu w Światowy Ruch Pokoju będzie zamieszczająca ten numer Deklaracja Pokoju Hopiów.

Okazja do bezpośredniego spotkania z tubylczymi Amerykanami, do bliższego poznania ich kultury i humanistycznych idei, może powtórzyć się latem przyszłego roku, kiedy to planowany jest Indiański Bieg Pokoju z Berlina przez Polskę i ZSRR do Helsinek. Indiańscy biegacze pod przywództwem Dennisa Banksa liczą na pomoc wszelkich formalnych i nieformalnych grup i organizacji w wyborze trasy i organizowaniu spotkań z mieszkańcami. Wiele może zależeć od nas... Wszystkich zainteresowanych prosimy o skontaktowanie się z M. Nowocieniem (adres w Ogłoszeniach).

Wydarzenia ostatnich tygodni kilkakrotnie potwierdziły, że problemy i idee ludów tubylczych coraz częściej zwracają uwagę świata. Laureatem Pokojowej Nagrody Nobla został duchowy przywódca Tybetańczyków, Dalaj Lama, który w swoim życiu kieruje się zasadami skromności, tolerancji i szacunku dla wszelkich żywych istot. Papież Jan Paweł II odwiedził z kolei okupowany przez Indonezję Timor Wschodni, wyrażając swoją solidarność z tubylczymi mieszkańcami wyspy. Nie powinno więc dziwić, że kolejna XIII Konferencja Międzynarodowej Rady indiańskich Traktatów (ITC) odbędzie się zimą w ojczyźnie Maorysów - "Ziemii Długiej Białej Chmury" - Nowej Zelandii.

Tymczasem u nas spośród kilku propozycji na miejsce przyszłorocznego złotu najbardziej prawdopodobna - i interesująca - wydaje się być obecnie koszalińska oferta Konrada. Nie rezygnuje on z realizacji przedstawionego na złocie planu, a w ostatni weekend października zorganizował u siebie "pożegnanie sezonu".

Jeśli nie dotrą do nas atrakcyjniejsze propozycje i jeśli - podobnie jak w mijającym roku - nie będzie większego zainteresowania problemami popularno-naukowymi - planujemy, że wiosenna sesja w poznańskiej "Orbicie" będzie inaugurującym nowy sezon swobodnym spotkaniem znajomych, wzbogaconym być może paroma filmami, jakimś występem lub nową wystawą. Czekamy na wasze głosy.

Zanim jednak spotkamy się ponownie - naszym chodzieskim przyjaciołom: Dariuszowi i Andrzejowi oraz ich Wybrankom życzymy, by szybko i pomyślnie ułożyli swoje sprawy osobiste i rodzinne, a swoim szczęściem "na nowej drodze życia" mogli i chcieli dzielić się z nami wszystkimi we wspólnym kręgu.

Obchodzona od lat 25 czerwca rocznica największego zwycięstwa Indian prerii nad wojskami amerykańskimi - jest także rocznicą urodzin największego z żyjących przywódców Narodu Lakotów. W mijającym roku wódz Frank Fools Crow ukończył 100 lat. Życzymy Mu wielu jeszcze osiągnięć i radości na Matce Ziemi.

Na coraz dłuższe wieczory polecamy lekturę naszego "Przeglądu", długo oczekiwaną "Literaturę na Świecie" nr 2/89 oraz kolejne numery "Biblioteki TAWACINU" (szczegóły w Ogłoszeniach). Autorem grafik ilustrujących ten numer jest kanadyjski Indianin Rick Noname. Wszystkim, którzy przekazali nam swoje teksty i materiały - dziękujemy.

REDAKCJA

PRZEGŁĄD PRPI "TAWACIN"
wydawany jest na prawach rękopisu.
Wydanie "Lato - Jesień '89" przygotowali
Niedźwiedz, Wawoki'ya i Cieł.

Rozmowy Tawacinu:

TAWACIN: Od jak dawna interesujesz się indiańską kulturą i o co w niej uważasz za najistotniejsze?

P. Spólny: Można powiedzieć, że interesowałem się tym zawsze, ten: odkąd pamiętam. Kiedy miałem kilka lat i z innymi dziećmi bawiłem się w Indian i kowbojów, to zawsze wołałem być Indianinem. Podobał mi się ich sposób życia i to chyba cały czas jest dla mnie najważniejsze.

T.: A jak trafiłeś na złot?

P. S.: Przez "Świat Młodych". Był tam artykuł o grupie z Chodzieży. Napisałem do nich list. Później doszło do spotkania. Jeszcze wtedy nie odbywały się złoty. Rozmawialiśmy dopiero o tym, że byłoby pięknie gdyby wszyscy zainteresowani tym tematem w Polsce mogli spotkać się ze sobą. Były to nasze marzenia. Wtedy, wielka sprawa!

T.: I w końcu doszło do tego.

P. S.: Tak, ale nie od razu. Pierwszy Złot zwany Serowym został odwołany. Mimo to część ludzi przyjechała! Przeważnie ci, do których wiadomość o odwołaniu nie doszła na czas.

Następny jednak odbył się i był to jeden z najlepszych złotych. Przede wszystkim był bardzo dobrze zorganizowany, a poza tym była wspaniała atmosfera. W ogóle te pierwsze złoty były wspaniałe. Później nie było już tak dobrze. Chociaż podobno ostatni w Białymstoku też był niezły. Mnie tam nie było.

T.: Dlaczego te pierwsze złoty różniły się od pozostałych?

P. S.: Inna była wtedy sytuacja. Sam fakt, że były to pierwsze złoty nadawał im atrakcyjności. Ludzie byli wtedy młodszy i pełni entuzjazmu. Wielu z nich było gdzieś samotnie. W swoich środowiskach nie znajdowali zrozumienia. Często wyśmiewano się z nich i brano za dziwaków. Aż tu nagle okazało się, że takich dziwaków jest więcej. To był powód do radości: znaleźć się wśród swoich, takich samych dziwaków.

T.: Dzisiaj też chyba jeszcze tak jest?

P. S.: W części może tak. Ale wtedy było to bardzo mocne. To ludzie łączyło, zbliżało do siebie. Dużo było serdeczności i otwarcia. Można było między sobą szczerze rozmawiać o sprawach, z których biali ludzie się śmieją. Więcej było wiary w słuszność Indiańskiej Drogi i więcej ochoty do jej realizacji.

T.: A jak teraz jest?

P. S.: Moim zdaniem ochoty jeszcze trochę zostało, ale z wiarą to już jest gorzej. A może na odwrót?

T.: Czym jest dla Ciebie Indiańska Droga? Jak to rozumiesz?

P. S.: Myślę, że najlepiej określa ją słowo przekazane przez Indian: Babcie, Stefanie Antoniewicz. Używane przez samych Indian: To słowo to "konserwacjonizm". Nie "konserwatyzm", ale "konserwacjonizm". Krótka mowa chodzi o jak najbardziej harmonijne współżycie z otaczającym nas światem, ze wszystkimi istotami. Dotyczy to i ludzi, i zwierząt, roślin i całej reszty. Aby realizując swoje potrzeby człowiek nie niszczył wszystkiego dookoła siebie.

T.: Tym zajmuje się ekologia.

P. S.: Niestety nie. W każdym razie niezupełnie. Mówi ona jak zaspokajać swoje pragnienia nie ponosząc konsekwencji. Jak

okradać przyrodę, a nie być złodziejem.

Jest różnica pomiędzy potrzebą a pragnieniem. Mogę pragnąć wielu różnych rzeczy, ale czy to znaczy, że to wszystko jest mi potrzebne i dobre dla mnie i otaczającego mnie świata? Konserwacjonizm to zupełnie coś innego niż ekologia. Konserwacjonizm to Droga Wojowników, a wojownicy panują nad pragnieniem.

T.: Ale taka droga to cofanie się. W końcu ktoś może dojść do wniosku, że i ubranie nie jest potrzebą ale pragnieniem! Co w takim razie z postępem?

P.S.: Przede wszystkim to jest pytanie czy ten postęp, który jest, jest naprawdę postępem? Moim zdaniem, cały obecny postęp opiera się na żądzy posiadania albo na lenistwie.

W Ewangelii można przeczytać: "Nie gromadźcie skarbów ziemskich, bo są to rzeczy, które przemijają. Gromadźcie skarby w sercu swoim, bo one skarby serca są wieczne i nigdy nie przemijają". To też jest konserwacjonizm. Jezus, albo ktoś kto napisał Ewangelię, był Indianinem, konserwacjonistą!

T.: Wróćmy może jednak do P.R.P.I. Na ile Twoim zdaniem ludzie z tego ruchu realizują Indianąską Drogę?

P.S.: Nie jestem chyba kompetentny do wypowiadania opinii w tej sprawie. Tym bardziej, że ostatnio mój kontakt z ludźmi rozluźnił się. Jednak, z tego co widzę, przypuszczałam, że wielu stara się to robić, ale nie wszystkim w równym stopniu się udaje. Jest wiele spraw, które przeszkażają.

T.: Na przykład jakie?

P.S.: Między innymi to jest to, że chyba wszyscy poddani są presji społeczeństwa, które głównie nastawione jest na konsumpcję. Społeczeństwo to mówi: nie bądź głupi, tylko ten, kto coś posiada - liczy się dzisiaj. Tylko posiadanie da ci szczęście. Bierz jak najwięcej. Korzystaj z życia. Reszta się nie liczy. Społeczeństwo to ciągle poddaje w wątpliwość Indianąską Drogę.

Druga sprawa to jest to, że urodziliśmy się w tym społeczeństwie i od pierwszych chwil życia zaszczerpiono nam pragnienie posiadania. Przynajmniej większość ciężko zrezygnować jest z wielu rzeczy, do których przyzwyczaili się. Człowiek wystawiony jest na wiele pokus. Tym bardziej kiedy żyje w mieście, ale i wieś nie jest od tego wolna.

T.: Czy w takim razie lepiej opuścić miasto?

P.S.: Nie wiem. To już indywidualny wybór. Sądzę jednak, że kontakt z przyrodą jest bardzo potrzebny, a w mieście jest to w znacznym stopniu utrudnione.

Jednak realizacja Indianąskiej Drogi nie zależy aż tak bardzo od miejsca. Wszędzie można ją realizować, albo nie realizować. Samo opuszczenie miasta nie powoduje tego automatycznie. Niezależnie od miejsca, w którym się ktoś znajduje ma on wiele różnych możliwości działania. Trzeba ich tylko poszukać. Przede wszystkim w swoim osobistym codziennym życiu, ale także i na zewnątrz. Sytuacja w naszym kraju zmieniła się na tyle, że możemy mieć wpływ na to, co się dookoła z nami dzieje. Możemy, jeśli tylko będziemy tego dostatecznie mocno chcieli!

T.: Jak widzisz przyszłość P.R.P.I.? Co sądzisz o projekcie legalizacji?

P.S.: Najpierw odpowiem na drugie pytanie. Nie znam się na przepisach, ale nie wydaje mi się aby ten ruch był nie-

legalny. Moje sumienie mówi mi, że nie robimy nic złego. Nie ma więc moim zdaniem tej kwestii!

T.: W takim razie, co sądzisz o formalizacji ruchu, bo przecież teraz jest to ruch nieformalny?

P.S.: Nie widzę potrzeby aby zmieniać ten ruch w instytucję. Byłoby to niezdrowe. Jeśli jednak ktoś uważa, że do tego działania potrzebna jest organizacja - to niech ją zakłada.

T.: A co do przyszłości? Jak to widzisz?

P.S.: Być może cała ta sprawa rozwine się, a może po prostu zniknie. Patrząc z perspektywy czasu można by twierdzić, że nie się nie dzieje. Ja jednak tak nie uważam. Sądzę, że gdyby naprawdę nie się nie działo to ludzie nie spotykali by się i nie byłoby już słotów. To co się dzieje jest trudne do obserwacji, ponieważ zmiany te zachodzą przede wszystkim wewnątrz ludzi. Ale przyszłość wcale nie jest pewna. Jak to mówią - na dwoje babka wróżyła: "Będzie desc, albo go nie będzie".

Myślę, że Indianie dostarczyli nam już dosyć informacji, aby coś postanowić. Jeśli ten ruch pozostanie tylko ruchem przyjaciół Indian, to by znaczyło, że nie rozwija się. W konsekwencji przestanie być naprawdę ruchem przyjaciół Indian. Do tej pory jesteśmy jak gdyby agentami Indian. Przekazujemy dalej to co oni nam dają. Było by jednak bardziej pożyteczne gdybyśmy trochę więcej postrzegli zachować dla siebie!

Dla mnie przyszłość to konserwacjonizm. Każdy jednak sam powinien wyolęgnać wnioski z wiedzy, którą dali nam Indianie. Każdy sam powinien pracować nad Indianąską Drogą. Tej pracy nie zastąpi działalność propagandowa, ani tworzenie organizacji czy pomoc dla Indian!

Myślę, że najlepiej możemy im pomóc, a także sobie, starając się zrozumieć co oni mówią do nas i realizując to. To wszystko!

T.: Dziękuję za rozmowę.

P.S.: Ja również dziękuję!

Wywiad dla Tawacinu
z Piotrem Spólnym
przeprowadził
Piotr Spólny.



INDIANIE POLNOOCNEJ AMERYKI

Zjednoczone Szczepy Lenape Narodu Delawarów

Wielu ludzi, rodowitych Amerykanów, pracuje obecnie nad powrotem do najbardziej tradycyjnych dróg życia, kiedy wszyscy byli równi, wszyscy traktowani z szacunkiem. Nie istniały tam nowoczesne instytucje takie jak Domy Starców, Domy Dziełoka, sierocińce, więzienia itd. Instytucje te nie istniały, gdyż na tradycyjnej drodze życia nie były potrzebne. Materialistyczne wartości, jak konkurencja, rywalizacja itp. nie miały miejsca. Dla ludzi ważniejsza była sprawa ogólna Rodowitych Amerykanów, niż rzeczy materialne. Ludzie uznawali dzielenie się wszystkim, z opieką i pomocą jednych dla drugich.

Na Indianiejskiej Drodze nie ma współzawodnictwa, które jest wartością destrukcyjną. Zamiast tego Indianie współpracują jedni z drugimi - każdy daje swój wkład, na jaki go stać - zgodnie z jego zdolnościami. Wszyscy uważani byli za równych, gdyż rywalizacja jest też destrukcyjna i była zwalczana. "Instytucja" jest słowem złowieszczym w samym sobie - i była nieznana u Indian w ich tradycji, gdyż styl ich życia nie potrzebował tego. Domy starców, sierocińce były nieznane z tej prostej przyczyny, że żadna osoba młoda czy stara - nie mogła być pozostawiona samotnie - w żadnym wypadku. Cała społeczność opiekowała się taką osobą. Jeśli dziecko straciło rodziców - zostawało adoptowane przez kogoś z rodziny, jeśli rodziny nie było - wtedy ktoś inny adoptował dziecko i opiekował się nim.

Podobnie więzienia były nieznane, gdyż niewiele zdarzało się przyczyn do popełniania przestępstw i zbrodni. W społeczeństwie, w którym wszyscy uczyli się poszanowania bliźnich, zrozumienia dla innych ludzi - przestępstwa mogły być tylko bardzo nieliczne.

Wielu Indian na przestrzeni całej Ameryki marzy o powrocie do starych dróg. Nie jest to naprawdę już tylko snem, ale może stać się szybko bardzo określoną rzeczywistością.

Jako przykład, posłuchajcie podanych niżej kierunków i celów Zjednoczonych Szczepów Lenape Delawarów: ukazują one jaśniej dążenia i życzenia Rodowitych Amerykanów na lepszą, prostszą drogę życia.

Przyjęte przez Radę Szczepową Lenape Delawarów kierunki i cele:

1. Powrót do starych dróg - najbardziej, jak to jest tylko możliwe.
2. Utrzymanie jak największej naszej kulturalno-religijnej dziedziczyzny - jak to jest tylko możliwe.
3. Studiować, uczyć się i praktykować Wielkie Prawo Pokoju "Medwin" i kodeks etyczny "Wielkiego Domu".
4. Żyć z przyrodą, strzec ekologii i konserwacji, nigdy nie wyzyskiwać bliźniego człowieka i Matki Ziemi a także zwierząt - naszych braci i siostr.
5. Obejmować swą ziemię dla całego społeczeństwa: Zbudować magazyny na przechowanie żywności, założyć małe przedsiębiorstwa i handel wymienny.
6. Szanować naszych przodków, naszą starszyznę i każdego bliźniego na wszystkich drogach.
7. Zapatrywać w żywność i schronienie wszystkich członków naszego szczepu.
8. Opiekować się naszymi starcami, dziećmi i chorymi.

9. Zachęcać naszą młodzież do rozwijania swych zdolności, zbudowania szkoły, kupowania ekwipunku - jeśli jest potrzebny; wznieść indywidualną potrzebę wstawiania; aby stać się prawdziwą istotą ziemną, dziełem Stwórcy.
11. Wykorzystywać nasze źródła i zasoby dla wspólnoty i dobra wszystkich.
12. Przychodzić z pomocą dla jednostek indywidualnych, rodzin i szczepów wszystkich Narodów Indianiejskich, udzielać poparcia finansowego, moralnego i fizycznego.
13. Powrót do bezkompleksowego, prostego społeczeństwa. Unikać materialistycznej konkurencji sukcesu: Dla naszych ludzi jedynym sukcesem jest wypełnianie obowiązków i współpraca dla własnego społeczeństwa.
19. Jednoczyć się we współdziałaniu - "stać się jednym umysłem". Szczercie pragnąć żyć w pokoju i braterstwie ze wszystkimi żyjącymi istotami, które są dziełem Stwórcy. Szanować proste, szlachetne "Stare Drogi": Niechaj Miłość będzie najwyższym zwierchnikiem.

Powiedziałem.

Zjednoczone Szczepy Lenape Delawarów wypowiedziały się jasno o swych intencjach i życzeniach "Powrotu do Starych Dróg". Częścią ich działania jest zebranie funduszu, za pomocą którego mają nadzieję odkupienia ziemi w kraju, gdzie ich przodkowie żyli przed wiekami.

Czwarty punkt deklaracji jest może najważniejszy, gdyż ukazuje podstawowe zasady tradycyjnej drogi życia pod względem szacunku dla wszystkich postaci życia Matki Ziemi: Praktykowanie konserwacji, co w innych słowach znaczy: należy brać od Przyrody tylko tyle, ile nam potrzeba. Każdy konserwacjonista wie, że zasoby i źródła ziemi nie są bez końca! Indianie Amerykańscy są może rodowitymi konserwacjonistami - gdyż było to integralną częścią ich życia; wiedzą Oni lepiej niż ktokolwiek inny, jak żywotną siłą jest odnoszenie się do Ziemi z szacunkiem, gdyż daje ona nam życie i utrzymuje nas. Niżej podana Indianiejska modlitwa najlepiej ukaże nam postawę Rodowitych Amerykanów wobec życia, przyrody, do nas wszystkich.

"Och, Wielki Duchu, którego głos słyszę w szumie wiatrów, usłysz mnie - jestem mały i słaby, potrzebuję Twojej siły i mądrości! Pozwól mi wędrować w Pięknie i uroczym, aby moje oczy zawsze mogły oglądać czerwono-purpurowy zachód Słońca.

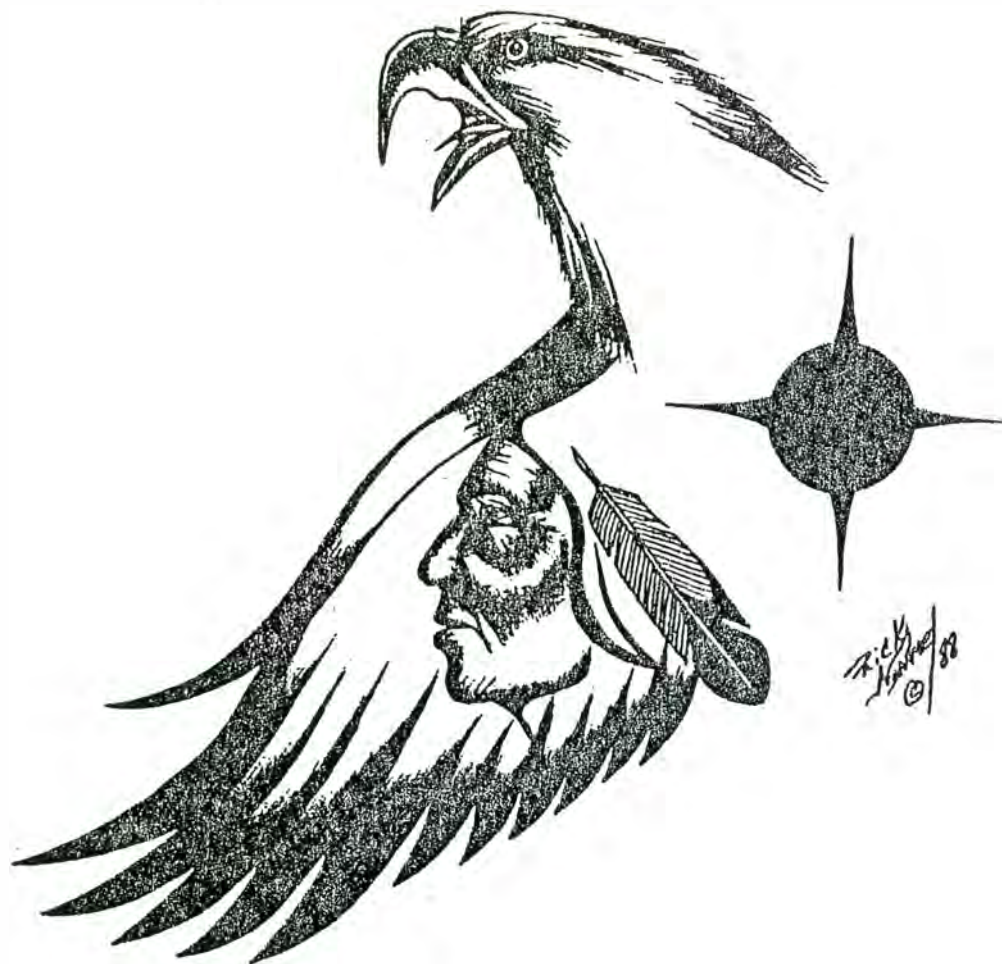
Uczyń, aby moje ręce zawsze szanowały rzeczy, które uczyniłeś, a - słuch mój - zaostreż się tak, abym mógł usłyszeć Twój głos. Uczyń mnie mądrym tak, abym mógł poznać sprawy, których uczyłeś mój naród - tę wiedzę, którą ukryłeś w każdym liście i skale.

Poszukuję siły nie po to, abym był wywyższonym /możniejszym/ wśród moich pracy - ale abym mógł zwyciężyć mego największego wroga, siebie samego.

Uczyń, mnie gotowym, abym przychodząc do Ciebie, zawsze miał ręce czyste - a oczy patrzące prosto. A kiedy życie zaniknie, jak zanika zachód słońca - niechaj duch mój bez wstydu może stanąć przed Tobą".

TŁUM. INDIANIEJSKA BABCIA - STEFANIA ANTONIEWICZ





DO ZRZESZONYCH W PRPI

(LIST DO WSPÓŁUCZESTNIKÓW XIII ZŁOTU)

Postanowiliśmy, że nasze najbardziej osobiste przemyślenia o działalności ruchu ujrzą światło dzienne w tym szerszym gronie. Wiele już o tym napisano i mówiono. Nie chcemy, aby nasz głos stał się tylko kolejnym w tej jałowej dyskusji. Pragniemy, by zakończył ją - miejmy nadzieję - ze skutkiem pozytywnym.

Nie jest to prośba skierowana do aktywu ruchu, gdyż tej formy pragniemy ze wszech miar uniknąć, lecz pońlekąd zmuszeni jesteśmy prosić, aby wysłuchano naszego wołania w maksymalnym skupieniu i powadze, co jak dotychczas zauważyliśmy, niektórym sprawia trudność.

Przejdźmy do sedna sprawy. Otóż, czy rozbrykaną młodzież może rządzić "skostniała" starszyna? Może to zbyt mocne sformułowanie, niemniej jednak dobrze obrazujące istniejącą sytuację. Bo czyż nie świadczy o tym fakt, że w obozie podczas zlotu owo "przewodnie ciało" nie jest w stanie wprowadzić odpowiedniej dyscypliny, co wspomniana już młodzież z zapalem wykorzystuje? Jest to kolejny już zlot, określany mianem przełomowego. Tymczasem dla niektórych jest on - cytujemy - "pechowy".

Dlaczego? Otóż dlatego, iż, jak to ktoś zauważył, nie można w trakcie tego spotkania zabawić się inaczej, jak przy użyciu alkoholu i innych środków odurzających. Wiemy, że w trakcie obecnego zlotu obowiązuje formalny zakaz używania ich. Nie mniej jednak nikt nie zdaje się być konsekwentny w wypełnianiu obietnic. Sprawa ta była już poruszana na tym zlocie, niczego to jednak chyba nie zmieniło.

Pozwólmy sobie na drobną dygresję i zapytajmy, po co to wszystko? Ostatecznie można potać się w dyskotecę, "zalać" w bramie, a zamiast rzutu tomahawkiem - uprawiać boks lub inny sport. Odnosnie wysiłku intelektualnego - to miast teoretycznie roztrząsać kwestię, czy lepsza jest "mazowiecka" czy "żytnia", można rozwiązać krzyżówkę. Naszym postępowaniem dajemy do ręki broń tym wszystkim szermierzom, którzy nasze zainteresowania nazywają zabawą, dziecinadą, czy wręcz głupotą.

Ci spośród nas, którzy interesują się Indianami, mogą studiować etnografię lub amerykanistykę. Wszakże dla tych, którym sprawa Indian leży na sercu winna istnieć przystań, która wolna byłaby od zawiści, złości, która byłaby dla nich azylem.

Pragniemy poruszyć jeszcze jedną sprawę. Kim my jesteśmy? Ponoć "bawimy się w Indian". Posłużmy się przykładem. Otóż po wkroczeniu hitlerowców do Gdańska gestapo zatrzymało pewnego człowieka, który starał się zmanifestować swoją polskość. "Jaki z ciebie Polak, skoro nawet po polsku nie umiesz" - szydzili. On zaś odparł: "Aber mein herz ist polnisch (Ale moje serce jest polskie)". Komentarz pozostawiamy Wam.

Mamy również pewne obiekcje do artykułu "Co Indianie dali światu?" z "Tawacinu" nr 10. Gdy ktoś pisze, że dali kanu, travois, tytoń etc., to jest to śmieszne i świadczy źle głównie o nas. Bo czyż człowiekowi na poziomie jest w stanie zaimponować naród, w którego dorobku znajduje się głównie tytoń? Nie wstydzimy się bynajmniej naszych zainteresowań, ale uważamy, że wartości moralno-etyczne i cały dorobek duchowy Indian są daleko bardziej godne uwagi.

Nie wiemy, jaki skutek to odniesie (podejrzewamy, że żaden), w każdym razie deklarujemy się jako byli członkowie ruchu. Nie wiemy, czy zdołamy wspólnymi siłami stworzyć przystań, o której pisaliśmy. Apelujemy więc do tych, którzy się z nami zgadzają (jeśli tacy są), by przyłączyli się do nas. Jeśli drzewo obumiera i nic nie jest w stanie go uratować, to należy posiać jego nasiona i pielęgnować je. Mamy nadzieję, że list ten spotka się z odzewem (bez użycia niecenzuralnych słów). Dla tych, którzy chcą się z nami skontaktować, podajemy adres: KRZYSZTOF WITCZAK, ul. Elsnera 4/47, 92-504 ŁÓDŹ.

Ci Którym Namiot Zwalił Się Na Głowy

P.S. Przepraszamy, jeśli ton naszego listu kogoś uraził. Adres podajemy dla tych wszystkich, którzy się z nami zgadzają, ale i dla tych, którzy być może pragną odeprzeć nasze zarzuty.

Nie byłem na XIII Zlocie Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian.
Ale jestem przekonany, że to, czy był on pechowy czy udany,
zależało, jak zwykle, po części od każdego jego uczestnika.

Nie byłem na nim - i być może dlatego z czystym sumieniem odpowiedzieć mogę na list "Do zrzeszonych w PRPI". Jego Autorzy zawiedli się, że nie był on "przełomowy". Ale podobnie jak ci, których krytykują, zrezygnowali ze starania się o to. Narzekają, że nie można było zabawić się tam bez użycia "środków odurzających", ale nie próbowali zaproponować innej formy rozrywki. Z jednej strony chcieliby zakończenia "jąkowej dyskusji", z drugiej zaś liczą, że ich list "spotka się z odzewem". Nie chcą przy tym wcale apelować do "skostniałej starszyny", która ich zdaniem nie panuje nad "rozbrykaną młodzieżą" i sama daje jej zły przykład. Nie zwracają się też do tych, którzy po prostu "interesują się Indianami" w sposób naukowy lub praktyczny - dla nich są uczelniami... Liczą tylko na tych, "którym sprawa Indian leży na sercu" i którym trudno w życiu znaleźć bezpieczną przystań. Na nich im ponoć zależy, o azył dla nich walczą i tylko z nimi się utożsamiają. W ten mało precyzyjny sposób usiłują dzielić i tak nieliczną grupę polskich przyjaciół Indian, sami deklarując się przy tym jako "byli członkowie ruchu". Czy także jako byli przyjaciele Indian - bo tak też można to rozumieć?

A przecież po to właśnie narodził się ten Ruch, by skupiać wszystkich, którym "sprawa Indian leży na sercu" - niezależnie od formy, w jakiej pragną to wyrażać i innych cech charakteru. Po to był, jest i - mam nadzieję - będzie, by mogli się spotykać, poznawać i - jeśli zachcą - przyjaźnić. By mogli wymieniać poglądy, wiadomości i umiejętności, i by służył nim potrzebom tubylczych Amerykanów. A także, co równie ważne, by w ten sposób szukać nie "azyłu" od świata, lecz własnego sensu życia i miejsca na Matce Ziemi.

Na ile ta idea sprawdza się w praktyce - zależy przede wszystkim od nas samych - ludzi wciąż na nowo TWORZĄCYCH RUCH, (a nie biernie "zrzeszonych"). Ani Indianie, ani ich miłośnicy nie są ludźmi o kryształowych charakterach. Nie raz zastanawialiśmy się nad tym, co robić, by nasze wady nie przeszkadzały nam we wspólnych działaniach. Ale nie ma na to uniwersalnych rozwiązań. Tylko nieliczni z nas mogą z całą odpowiedzialnością powiedzieć o sobie, że ZAWSZE SĄ przyjaciółmi Indian. Większość - takimi przyjaciółmi bywa. A podany przez Autorów listu przykład może dowodzić też tego, że być nim może każdy.

Dlatego - chociaż jak każdy mam swoje upodobania i antypatie - staram się nie krytykować nikogo w Ruchu za to co - i jak - robi, jeśli tylko może to być pożyteczne dla Indian, dla naszego Ruchu, społeczeństwa i środowiska. Albo choćby - dla niego samego. Dlatego buntuję się przeciwko uproszczonemu, zbyt jednostronnemu poglądom. I dlatego nikogo ze zlotu nie odsyłam na dyskotekę czy "w bramę" tylko dlatego, że nie podobają mi się jego niektóre zachowania. Ludzi niebezpiecznych lub wyraźnie uciążliwych dla ogółu - tak. Ale po prostu INNYCH - nie; przynajmniej dopóki nie dowiem się, dlaczego znaleźli się wśród nas, czego tu oczekują i co mogą zaoferować.

Uważamy się za ludzi wolnych i samodzielnych, mających prawo do własnych ocen i poglądów. Nikt z nas nie ma jednak wyłącznego prawa do decydowania o tym, jaki powinien być zlot, czy cały Ruch, ani też kto zasługuje na bycie jego uczestnikiem. Organizatorzy i tzw. "starszyna" nie są od pilnowania dyscypliny - od pewnego wieku powinno się odpowiadać za siebie. Do "aktywu" może należeć każdy, kto ma pomysły, wiedzę, lub choćby własne zdanie, oraz - odwagę do publicznego ich prezentowania. Na propozycje do programu każdej imprezy oczekuje się dużo wcześniej, również na zlotach "tępi narad" otwarte jest (w miarę możliwości) dla wszystkich. A o głupawe pomysły najłatwiej, kiedy brakuje chęci do współpracy, wzajemnej otwartości i życzliwości.

Nasz program możemy - i powinniśmy - tworzyć wspólnie. Nie wystarczy się krzywić, dziwić i obrażać. Trzeba samemu proponować i zachęcać, wyjaśniać i przekonywać. Czasem - również dla własnego dobra - trzeba się przy tym przełamywać, poświęcać lub przyznać rację innym. Ale dziś portów nie szuka się, lecz buduje je. Chyba, że naprawdę źle wybrało się miejsce.

Cień

WITAJ MŁODY PRZYJACIELU.

Pamiętasz, spotkaliśmy się na Zlocie. Szkoda, że nie było okazji porozmawiać. Ale wiem, że obserwowaliśmy się uważnie. Czy nie uważasz, że nadzedł czas, aby wyjaśnić sobie pewne sprawy? Odnoszę wrażenie, że dzieli nas przepaść. Czy wynika ona tylko z różnicy wieku? Czy może raczej z utartego schematu, że ja jestem "Stary", a Ty "Młody"? Czy może z faktu, że inaczej interpretujemy sposób realizacji w życiu "Indiańskiej Drogi"? Jakie są Twoje zarzuty? Mówisz, że stałem się zasiedziały zlotowym "zgredem", że odcinam się od Ciebie, zamykam w kręgu swojej rodziny i kółku grupki podobnej mi starszyny. Ze brak mi życiowego luzu, że bardziej zajmuje mnie zarabianie pieniędzy i życie rodzinne niż chodzenie po "Naturalnych Drogach". Ze nie potrafiłem zorganizować Ci czasu na Zlocie tak, abys się nie nudził, że daję zły przykład młodzieży pijąc alkohol i paląc papierosy. Czy nie zauważasz, że z Twoich zarzutów przemawia głównie egoizm? Czy naprawdę jesteś tak mało tolerancyjny, żeby móc uzurpować sobie prawo do głoszenia swych idei jako jedynie słusznych? Tak, jestem zasiedziały "zgredem" wraz z grupą "Starych" Przyjaciół. Ale czy zastanowiłeś się, że to właśnie my, "Starzy" tworzyliśmy ten Ruch? Ze właśnie ci "Starzy" wymyślili ideę Zlotów, spowodowali, że masz możliwość czerpania ze źródła wiedzy, które przez lata pracowicie napełniali. To pozór, że odcinam się od Ciebie. Znam Cię dopiero dzień, miesiąc, rok, a z grupą starych przyjaciół spotkam się od kilkunastu lat. Wypracowaliśmy sobie wzajemnie przez ten czas uczucie przyjaźni, miłości i wzajemnego zaufania. Wybacz, ale Ty musiałbyś się bardzo postarać, abyśmy mogli darzyć Cię podobnymi uczuciami. Bo zdobycie przyjaciela i stworzenie uczucia jedności to także kwestia czasu. Boli mnie zarzut, że nie idę "Indiańską Ścieżką". Czy "Wolność Ponad Wszystko" to credo "Indiańskiej Ścieżki Piękna"? Czy zastanowiłeś się, czym dla Indian była miłość, rodzina, przyjaźń? Zawsze na pierwszym miejscu postawię swą rodzinę, starych, wypróbowanych przyjaciół i zrobię wszystko, aby zapewnić im godziwy, bezpieczny byt i poczucie wzajemności w uczuciach. I to jest dla mnie sens in-

Zyczę Ci Młody Przyjacielu, abys miał w sobie wiele
wytrwałości w dążeniu Indiańską Droga, zyczę Ci,
abys odnalazł w niej receptę na życie i sposób na
zrozumienie tego świata

W Duchu Przyjaźni

Marek Kabat

• • • • •
NASZE ROZMOWY:

INDIAŃSKI TYDZIEŃ W NRD

Od 5 do 13 sierpnia 1989 na zaproszenie grupy "Crow" spotkali się pod Furstenwalde w NRD miłośnicy Indian z całego kraju oraz goście z zagranicy. W największym z dotychczasowych, liczącym ponad 140 tipi, obozie nad Sprewą zamieszkało - często z całymi rodzinami i bogatym dobytkiem - ponad pół tysiąca uczestników kolejnego Indianińskiego Tygodnia (Indian Week). Jego bogaty program z trudem poddaje się opisowi. Dlatego publikujemy zaledwie garść wrażeń dwóch mieszkańców tego wielkiego obozu, z którymi rozmawiał Cień:

TAWACIN: Obaj byliście na zlocie w NRD po raz drugi. Jak tam było?

Niedźwiedź: Fajnie, przeszło moje oczekiwania.

M.Maciłek: Nieźle, ale to zależy, co kto lubi.

T.: Zatem, co Indianiści z NRD lubią najbardziej?

M.: Przebierać się w indiańskie ciuchy, do czego dorabiają sobie własną filozofię. Dla mnie - człowieka z zewnątrz, niezbyt zainteresowanego folklorem, strojami, itp. - było to nieco śmieszne. Nie wystarczy się przebrać, żeby poczuć się Indianinem - to dla mnie niezbyt przekonujące, żalosne dla mnie jest, że naród o bogatej starogermanskiej tradycji zmuszony jest poszukiwać swoich korzeni w zupełnej obcej kulturze. Razi mnie sztuczne stwarzanie "indiańskiej" atmosfery przez zmuszanie do przebierania się w indiańskie stroje, ślepe naśladowanie ludzi z innych miejsc i czasów.

N.: Przebierać się - to za mało. Dla nich to tylko środek do możliwie wiernego odtworzenia wyglądu i sposobu życia w dawnych indiańskich obozach, do wczucia się w ich atmosferę i zrozumienia ich mieszkańców. Niemcy odczuwają brak dostępu do własnych tradycji i dlatego tak łatwo akceptują inną kulturę. Ci, którzy nie akceptują takiej formy zainteresowań, nie jeżdżą na te obozy i nie są w nich mile widziani - psują zabawę innym.

T.: Czyli jednak najważniejsza jest po prostu zabawa ?

N.: Zabawa to może nie najlepsze słowo. Raczej - nauka przez rozrywkę. Poznawanie indyjskich obyczajów i obrzędów poprzez czynne uczestniczenie w nich. Czyli robienie tego, o czym my zwykle tylko mówimy.

M: Być może rzeczywiście mówienie wyłącznie o zabawie, to pewne słupienie. Nie mogę zaprzeczyć, że jest w tym wszystkim jakiś duchowy pierwiastek. Problem w tym, na ile to, co robisz, to stwarzanie iluzji i pewne pójsie na łatwinę, a na ile jest to autentyczne i trwałe. Oni chyba wierzą, że jest.

T.: Co więc różni te spotkania od naszych zlotów ?

M.: Moim zdaniem - przede wszystkim konkretny program tych spotkań realizowany od początku do końca. Wzajemne zrozumienie, umiejętność współpracy i podporządkowania się osobie prowadzącej dany punkt programu. A także ściśle określone i zwykle dość głębokie zainteresowania uczestników.

N.: Bogactwo elementów folklorystycznych, strojów, ozdób, wyposażenia tipi i całego obozu. To sprawia, że są one bardzo efektowne, widowiskowe. Nie są to zloty dla wszystkich "zainteresowanych" Indianami, ale dla "tradycjonalistów" - ludzi zafascynowanych przede wszystkim etnografią, kulturą, obrzędowością. I to akurat odpowiada moim podstawowym zainteresowaniom. Nie oznacza to wcale, że wielu z nich nie ma także innych zainteresowań, np. politycznych. Jednym z wielu punktów programu był np. "bieg solidarności" z Indianami poległymi w Wounded Knee, uwięzionym Leonardem Peltierem oraz uczestnikami konferencji i indyjskiej "sztafety narodów" w Szwajcarii.

T.: Czy sądzicie, że moglibyśmy się od nich czegoś nauczyć ?

M.: O organizacji była już mowa. Poza tym - ludzie, którzy u nas zajmują się wyrabianiem "indiańskich" przedmiotów i ozdób, starają się przede wszystkim, by były one ładne, dopracowane. Niemcy większą uwagę zwracają na zgodność wzornictwa i kolorystyki ze stylem danego plemienia i okresu. Warto też upowszechnić niektóre zwyczaje obozowe, sposoby zachowania się w tipi, przy ognisku itp. Podobna mi się przyjeżdżanie na zlot całymi rodzinami, wciąganie we własne zainteresowania współmałżonków i już od najmłodszych lat - dzieci.

N.: Jest nas tak mało i interesujemy się tak wieloma sprawami, że chyba byłoby lepiej, by program naszych zlotów pozostał tak zróżnicowany, jak do tej pory. Być może udałoby się jednak stworzyć pewne grupy, czy stowarzyszenia, o bardziej jednolitych zainteresowaniach, własnych spotkaniach itp. Chciałbym też, abyśmy nauczyli się podobnego zaangażowania we wspólne sprawy, licznego i spontanicznego uczestniczenia w rozmaitych imprezach.

T.: Czy chcielibyście uczestniczyć w takich spotkaniach częściej?

N.: Jeśli bytoby to możliwe, to chciałbym żyć w takim obozie przez cały rok.

M.: Raczej nie, choć nie żałuję, że tam byłem. Moje zainteresowania wymagają pracy w domowym zaciszu, wśród książek. Ale widok setek ludzi radujących się z udziału we wspólnym, barwnym przedsięwzięciu sprawia ogromne wrażenie.



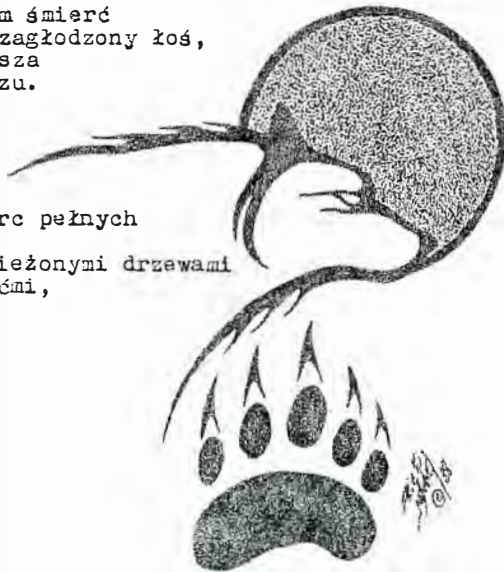
Z PRZEKŁADÓW ARTURA URBĄŃSKIEGO

ANITA ENDREZZE-DANIELSON

Ludzie Północy

Żyją tam, gdzie gwiazdy są
szczerbatymi pazurami borsuka
pośród gęstego czarnego futra nocy.
I tam, gdzie góry śpią
jak zgarbione błękitne niedźwiedzie.
Ich skóra to wzór dla płatków śniegu,
ich oczy jak okrągłe kamienie
obtoczone w mlecznych rzekach.
Zbyt zimni by dotykać jeden drugiego
bez zgubienia
części samych siebie,
chronią bezimienne szczyty,
głosami jak lodowe miecze.
Ich śmiech to dziurawy ząb.
Posiadają tyle dusz na ile im śmierć
pozwala: zaginiony myśliwy, zagłodzony łoś,
złamany zimą cedr którego dusza
jest modlitwą słońca i deszczu.

Czasami chodzą wśród nas,
po naszych zimnych drogach
z dala od nas samych,
liżą sól z naszych ran,
zazdroszcząc nam skrytych serc pełnych
ciszy, smutku czy miłości.
Przez ścieżki wyznaczone ośnieszonymi drzewami
lub wyscielone srebrnymi liśćmi,
chodzą wciąż naszym śladem,
samotnie, samotnie.

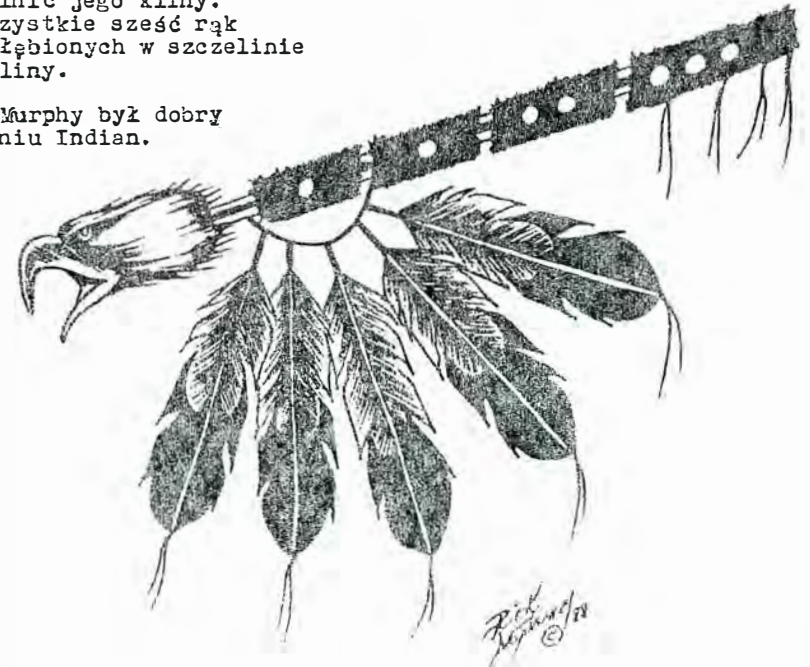


CARL LINDNER

Amerykańska legenda

Mówią że pewnego dnia trzech śmiałków
natknęło się na polanę
i mężczyznę rozszczępiającego kłody.
Zgodzili się rozciąć
połówki kłody
żeby uwolnić jego kliny.
Kiedy wszystkie sześć rąk
było zagłębionych w szczelinie
wyrwał kliny.

Timothy Murphy był dobry
w zabijaniu Indian.



Splątany Włos ze swoją wnuczką



EURO-MEETING - ZURICH '89

Ponieważ Roman Bala gości ponownie w Meksyku, a Jerzego Tołkoczkę pochłonięły inne obowiązki - mnie przypadł obowiązek złożenia relacji z V Spotkania Europejskich Grup Poparcia Indian, które w tym roku (w dniach 7-9 sierpnia) zorganizował w Zurichu szwajcarski Komitet na Rzecz Indian INCOMINDIOS.

Trzydniowy "Euro-Meeting" poprzedzało dwudniowe publiczne Forum, podczas którego przedstawiciele indiańskich narodów, organizacji i grup poparcia zaprezentowali świadectwa trwającego w obu Amerykach ludobójstwa i degradacji środowiska. Wyjaśniali oni istotę takich ogólnych spraw, jak niszczenie lasów tropikalnych, czy organizowanie się tubylców do samoobrony, a także aktualne problemy poszczególnych plemion Amazonii. Indianie z Ameryki Pn. mówili o skutkach wydobywania uranu w Kanadzie i wycieku ropy na Alasce, o eksplozjach jądrowych na ziemiach Zachodnich Szoszonów i zagrożeniu Czarnych Wzgórz.

Podróż do Zurichu (głównie autostopem) zajęła nam trzy doby i do wynajętego przez INCOMINDIOS Centrum Heuried dotarliśmy dopiero drugiego dnia Forum. Dlatego straciliśmy możliwość obejrzenia pokazywanych wcześniej filmów dokumentalnych. Na brak atrakcji przez cały czas pobytu nie mogliśmy jednak narzekać.

Od początku zaimponował nam nie tylko sprawny przebieg obrad (fachowe prowadzenie, aktualizowany na bieżąco program, tłumaczenia w trzech językach), ale przede wszystkim poziom zaplecza technicznego i socjalnego. Skomputeryzowany sekretariat, biuro prasowe z kserografem, telefony i mikrofony, czynna bez przerwy kawiarenka, sprawnie działająca stołówka (obsługiwana przez małżeństwo z dziećmi), a dla przybyłych z Polski - prysznic i bloczki na obiad.

Nad wszystkim czuwała kilkuosobowa zaledwie grupa organizatorów - młodych w większości ludzi z INCOMINDIOS - wciąż zajętych i zabieganych, przepraszających za brak czasu, coraz bardziej zmęczonych, ale spełniających dobrowolnie przyjęte na siebie obowiązki z uśmiechem i widoczną satysfakcją.

Po sympatycznym powitaniu z Helenką Nyberg, naszą "gospodynią" i opiekunką, oraz Janem Graberem, szefem biura organizacyjnego, zostaliśmy przedstawieni zebranym na sali, którzy długimi oklaskami

powitali nas oraz obecnych po raz pierwszy na Spotkaniu delegatów z ZSRR i NRD (po jednej osobie). Po tym wprowadzeniu poświęciliśmy się całkowicie wsłuchiowaniu się w wystąpienia kolejnych delegatów, wyszukiwaniu znanych z korespondencji i poznawaniu nowych osób oraz zwiedzaniu stoisk różnych grup wypełnionych publikacjami i materiałami reklamowymi: od biżuterii i ceramiki, przez koszulki z nadrukami, książki i czasopisma (w większości po niemiecku), do pocztówek, naklejek i znaczków (część wydawnictw i drobnych pamiątek otrzymaliśmy w prezencie).

Wieczorem, wraz ze wszystkimi uczestnikami Forum, pojechaliśmy do pobliskiego Winterthur na spotkanie z uczestnikami Sztafety Narodów - indiańskiego biegu z Genewy (gdzie zakończyło się kolejne posiedzenie Grupy Roboczej do Spraw Ludności Tubylczej przy Komisji Praw Człowieka ONZ) do Zurichu. A tam krąg tipi (w tym jedno ofiarowane biegaczom przez grupę z NRD), występy tubylczych grup teatralnych i artystów z całego świata, ognisko, bufet i przyjazne rozmowy z wodzem Lakotów Birgilem Kills Straight. Po północy odwieziono nas do hotelu młodzieżowego, gdzie INCOMINDIOS opłacił nam noclegi i śniadania.

Następnego ranka ostatni etap Sztafety zakończyła manifestacja w centrum Zurichu oraz przyjęcie dla jej uczestników, wydane przez władze miejskie. Prasa szwajcarska sporo pisała o konferencji w Genewie, indiańskim biegu i "Euro-Meetingu", wspominając także o obecności delegacji z Polski.

Zorganizowana zaraz potem w Centrum Heuried tradycyjna ceremonia Lakotów, z udziałem indiańskich przywódców i biegaczy, zakończyła Sztafetę Narodów, otwierając jednocześnie właściwe Spotkanie ponad 150 przedstawicieli z ok. 50 europejskich grup poparcia. Po prezentacji zasłużonych organizatorów poprzednich spotkań, a następnie wszystkich obecnych, rozpoczęła się część robocza. O wszystkim napisać tu nie sposób. W skrócie - w zależności od indywidualnych zainteresowań, dzieliliśmy się na małe grupy, dyskutujące jednocześnie w różnych pomieszczeniach Centrum. Wnioski i propozycje poszczególnych zespołów przedstawiano później na sesjach plenarnych, w razie potrzeby - uzupełniając i poddając pod głosowanie. Wszystko to znajdzie się w dokumentach końcowych Spotkania, które ma otrzymać każda z grup.

O czym mówiono? O wszystkich znanych nam i wielu nieznanych sprawach, o problemach i oczekiwaniach Indian, o trudnościach i możliwościach wspólnego działania, o dotyczących Indian kłótniach i stereotypach, kulturze i religii, pieniądzu i polityce, o sposobach niszczenia i ochrony Matki Ziemi (aktywni byli członkowie GREENPEACE i partii Zielonych z kilku krajów), o dążeniu do pokoju, przyjaźni i dziesiątkach innych spraw, do których mamy nadzieję powrócić jeszcze nie raz.

My, spośród wielu poruszanych tematów, wybraliśmy m.in. sprawy: Indian Ameryki Środkowej i Pd. (Roman planuje udział w dwóch regionalnych konferencjach), popularyzacji indiańskiej kultury, obchodów setnej rocznicy masakry nad Wounded Knee, walki z zagrożeniami jądrowymi oraz łączności między grupami. Do dyskusji na te tematy nie mogliśmy wnieść zbyt wiele, ale wyniesione doświadczenia powinny się przydać w przyszłości.

Każdego dnia część wieczorna, otwarta dla publiczności, poświęcona była wystąpieniom Indian, pokazom filmów i slajdów oraz prezentacjom działalności niektórych grup. O najważniejszych sprawach swoich braci opowiadali m.in. Milo Yellow Hair (Lakota), Bernard Ominayak (Lubicon Lake Kri), Faye Hdemar i Robert Tookoome z kanadyjskiej Północy oraz Evaristo Nugkuag z Amazonii. Wśród pokazywanych dokumentów (często z muzyką Floyda Westernmana) wyróżniały się: słynny film Kiyoshi Miyaty "Proroctwo Hopiów" oraz zestaw slajdów Reinharda Mandla "Na szlaku pow-wow".

W części poświęconej grupom z Europy Wschodniej publiczność życzliwie przyjęła naszą prezentację PRPI oraz wyjaśnienie, że ze względu na nieuregulowany jeszcze status prawny naszej grupy, skromne możliwości organizacyjno-techniczne oraz trudną sytuację wewnętrzną w kraju nie jesteśmy w stanie podjąć się organizacji przyszłorocznego "Euro-Meetingu" (taka propozycja była rozważana przed Spotkaniem). Kceptując te wyjaśnienia i prezent ofiarowany gospodarzom, spontanicznie złożono się na nasze bilety powrotne.

Po czterech pracowitych i pełnych wrażeń dniach, wyjeżdżaliśmy bogatsi o nowe wiadomości, znajomości i materiały. Wracaliśmy z nadzieją, że wspólnie zrobimy z nich dobry użytek. I że na przyszłorocznym Spotkaniu w Monachium obecność polskich przyjaciół Indian będzie jeszcze bardziej widoczna.

M. Nowociński

Wszyscy zainteresowani szczegółami, adresami itp. mogą do nas napisać.



NARÓD LAKOTÓW: CHCEMY PIENIĘDZY, NIE POLICJANTÓW

Groźna dla przyszłości Narodu Lakotów decyzja zapadła w sądzie federalnym w Rapid City. Sędzia Donald Porter uznał bowiem, że obok indiańskiej policji plemiennej także policja stanowa powinna mieć prawo do działania na terenie rezerwatów Pine Ridge i Rosebud w Dakocie Południowej. Natychmiast też skierowano do tych rezerwatów stanowe patrole drogowe.

Przeciwko takiej decyzji zaprotestowali zarówno tradycyjni wodzowie z Traktatowej Rady Lakotów (Lakota Treaty Council), jak i członkowie Rad Plemiennych, powołanych na mocy ustawy o reorganizacji Indian z 1934 r. Przewodniczący obu Rad, Paul Iron Cloud z Pine Ridge i Alex Lunderman z Rosebud, zagrozili, że aresztują każdego policjanta stanowego, patrolującego drogi lub zatrzymującego Indian na terenie rezerwatów. Z kolei władze Dakoty Południowej postawiły w stan pogotowia Gwardię Narodową i zagroziły aresztowaniem przywódców Indian pod zarzutem niezastosowania się do decyzji sądu. Stosunki Lakotów z władzami pogarsza dodatkowo ciągłe ograniczanie federalnych funduszy na programy pomocy dla Indian.

Obie Rady Plemienne potwierdziły swoje przekonanie o prawie Indian do plemiennej suwerenności i własnego sądownictwa oraz odwołały się od decyzji sędziego Portera do sądu apelacyjnego w St. Louis. Członkowie Traktatowej Rady Lakotów, mimo, że uważają Rady Plemienne za nielegalne, wezwali wszystkich Lakotów do zjednoczenia się przeciwko ingerencji władz stanowych i obrony swoich przywódców.

Przewidując nasilenie się tego konfliktu, Lakoci dążą do nadania mu szerokiego rozgłosu. Wierzą oni, że listy i petycje z wyrazami poparcia i zaniepokojenia międzynarodowej opinii publicznej pomogą im w obronie ich praw i przekonaniu władz, by zamiast policji skierowały do rezerwatów obiecaną w traktatach z Indianami pomoc.

Zmarł MATTHEW KING, zasłużony tradycyjny przywódca Lakotów, inicjator ich kontaktów ze społecznością międzynarodową, tłumacz wodza Franka Fools Crow, negocjator z Wounded Knee 1973, bojownik o odzyskanie Czarnych Wzgórz i suwerenność Narodu Lakotów

NAJBARDZIEJ BOMBARDOWANY NARÓD ŚWIATA...

Trwające rozmowy rozbrojeniowe udowadniają, że broń jądrowa nie jest niezbędna do obrony. Jednak wciąż prowadzone są nowe próby w celu jej udoskonalenia. Broń jądrowa staje się groźna nie tylko w razie wypadku lub wojny. Już dziś próbne eksplozje zniszczyły duże obszary ziemi, skaziły wodę, atmosferę i zagroziły zdrowiu i życiu wielu bezbronnych ludzi.

Cała broń jądrowa stacjonująca w Europie testowana była na ziemiach ludów tubylczych różnych kontynentów. Odbywa się to bez ich zgody oraz poszanowania ich praw do ziemi. To, co politycy i wojskowi nazywają działaniami dla obrony i bezpieczeństwa, jest więc groźbą dla życia i przetrwania ludów tubylczych. Żadne z mocarstw zachodnich nie dokonuje prób jądrowych na własnym terytorium: Wielka Brytania przeprowadzała je na ziemiach australijskich Aborygenów, Francja - na atolu Moruroa. Stany Zjednoczone zniszczyły kilka wysp Oceanii, ale najbardziej zagrożonym narodem świata są Zachodni Szożonowie.

Odkąd w 1953 r. prezydent Truman ustanowił poligon jądrowy w Newadzie (Nevada Test Site), na ziemiach zwanych przez Szożonów NEWE SOGOBIA Stany Zjednoczone i Wielka Brytania przeprowadziły ponad 700 naziemnych i podziemnych prób jądrowych. Jeśli USA i ZSRR porozumieją się co do wymiany ekip badawczych, to eksplodują tam także radzieckie ładunki jądrowe. Zachodni Szożonowie nazywają te próby eksplozjami bomb, bowiem niszczą one i zabijają.

Nie było żadnego traktatu, umowy, porozumienia, głosowania, czy sprzedaży, które zezwoliłyby władzom USA na prowadzenie prób jądrowych na lub pod terytorium, które według traktatu z Ruby Valley, obowiązującego od 1863 r., należy do Zachodnich Szożonów. Tubylczy mieszkańcy NEWE SOGOBIA odrzucili 26 mln dolarów, oferowane im w zamian za odstąpienie praw do ich ziemi (oceniając sam dług USA za korzystanie z niej na 670 mln dolarów) i zawiązali sojusz z przeciwnikami prób jądrowych w Newadzie. Od 1986 r., jako prawni właściciele poligonu, wydają np. zezwolenia na wkraczanie na jego teren, uprzedzając w ten sposób procesy o bezprawną obecność demonstrantów na terenie 'wojskowym'.

Zdrowotne i gospodarcze straty ponoszone przez ludy tubylcze na skutek próbnich eksplozji jądrowych są ignorowane przez opinię publiczną, która nie uznaje tego za jeszcze jedną formę ludobójstwa. Dlatego informowanie o faktach i ich tragicznych konsekwencjach może mieć duże znaczenie dla tubylczych ofiar prób jądrowych, w szczególności - dla pozbawionych ziemi i przyszłości Zachodnich Szożonów.

Istotne jest, że broń jądrowa to nie tylko potencjalne zagrożenie w razie wojny - jej rozwój stał się już katastrofą dla najsłabszej grupy społecznej - ludów tubylczych. Próby jądrowe zagroziły ich biologicznemu, społecznemu i ekonomicznemu przetrwaniu, powodując także choroby i śmierć wielu ludzi zatrudnionych na terenie poligonu, żyjących w jego sąsiedztwie, lub przebywających tam z innych przyczyn.

Działalność informacyjna, publikacje w prasie, kampanie listów protestacyjnych do władz i ambasad USA, publiczne prezentacje i współpraca z grupami pokojowymi, anty-nuklearnymi i ekologicznymi, różne formy pomocy w badaniach nad skutkami wybuchów, pokojowe akcje protestacyjne w miejscach prób i ośrodkach władzy oraz finansowe, materialne, organizacyjne i moralne wsparcie dla zagrożonych tubylców - to niektóre z działań, podejmowanych w innych krajach. Wiele z nich możliwych jest także u nas...

Ponieważ próbne eksplozje jądrowe są zagrożeniem globalnym, więc i protesty przeciwko nim powinny mieć charakter ogólnoświatowy. Na I Konferencji Ofiar Promieniowania, która w 1987 r. odbyła się w Nowym Jorku, postanowiono powołać do życia powszechną sieć informacji i działań przeciwko zagrożeniu jądrowemu, obejmującą możliwie wiele ludów i organizacji tubylczych oraz grup ich poparcia w Europie i Ameryce Pn. Wszyscy zainteresowani nawiązaniem współpracy lub uzyskaniem szczegółowych informacji mogą napisać do:

Renate Domnick
Hansaplatz 5
2000 Hamburg 1, RFN

Gunter Wippel
Oberau 63
7800 Freiburg, RFN

oraz : WESTERN SHOSHONE NATIONAL COUNCIL,
P.O. Box 68, Duckwater, Nevada 89314, USA

=MN=

NIE TYLKO "PRZERWANA TĘCZA"...

Dwunasty Festiwal Filmów Indianских, który odbył się w listopadzie 1987 r. w San Francisco nie był jedną z wielu szybko odchodzących w niepamięć imprez dla działaczy i krytyków. Z 20 zaprezentowanych na nim filmów co najmniej kilka zasługiwało bowiem na szczególną uwagę, a całość dedykowano pamięci Willa Sampsona, najsłynniejszego indiańskiego aktora w historii kina, zmarłego 8 czerwca 1987 r.

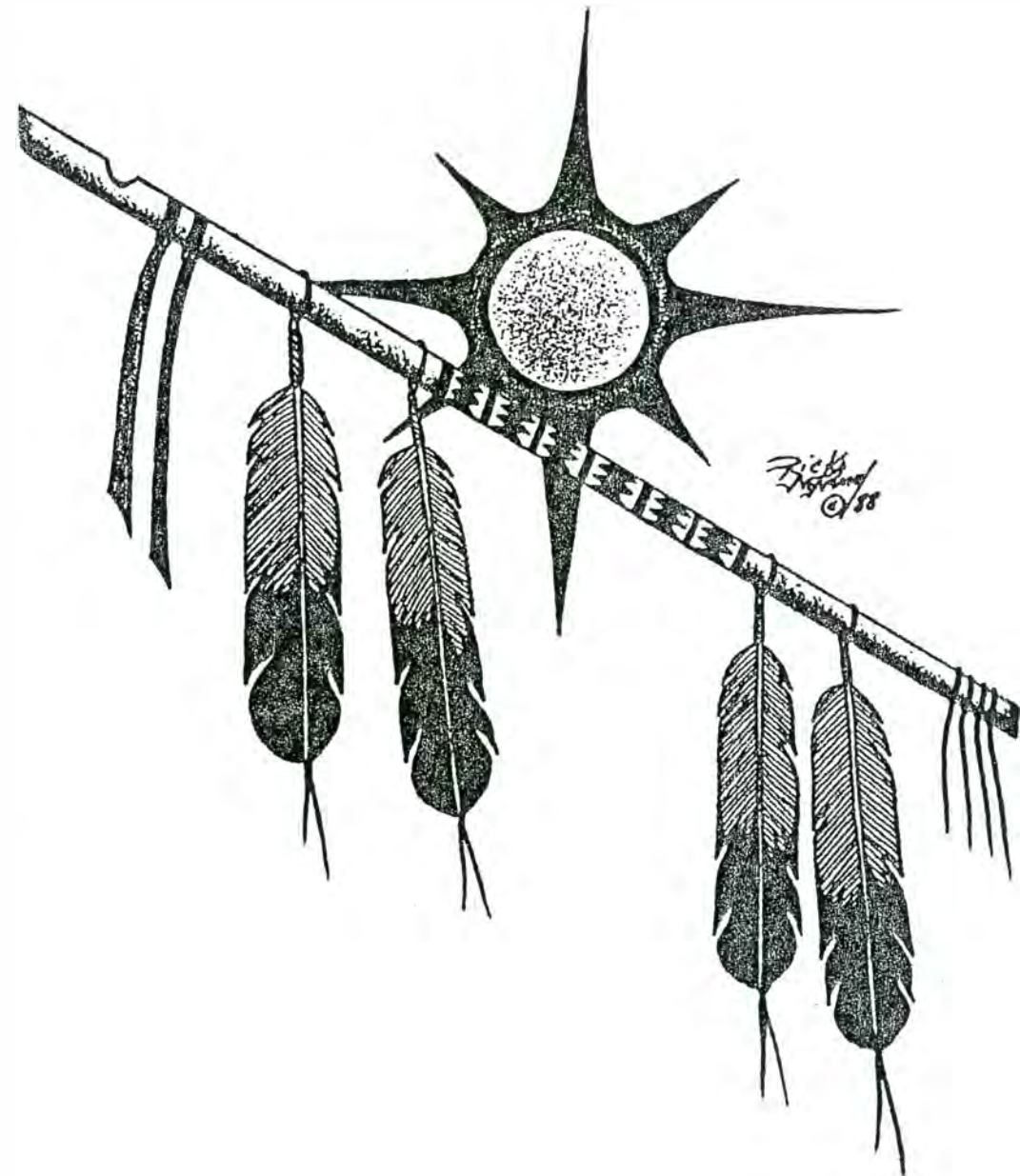
Za najlepszy film fabularny festiwalu uznano kanadyjski serial "Daughters of the Country" w reżyserii Normy Bailey, przedstawiający dramatyczne losy kanadyjskich Metysek na przestrzeni trzech stuleci. Na cykl składają się cztery godzinne filmy: "Ikwe", "Mistress Madeleine", "Places Not Our Own" i "The Wake". Odtwórczynię głównych ról w dwóch ostatnich częściach, Dianne Debassige, uznano za najbardziej obiecującą aktorkę.

Najlepszym pełnometrażowym dokumentem był film "Hopi Prophecy" (Proroctwo Hopiów) - ilustrowany muzyką Ahiry Ito i Floyda Westermana rezultat siedmiu lat pracy japońskiego przyjaciela Indian Kiyoshi Miyaty. Film, przypominający nieco znaną nam "Przerwaną tęczę", ukazuje długą walkę Hopiów i Nawahów o uchronienie Ziemi przed zagładą z ręki człowieka. Na temat tytułowych proroctw, przewidujących m.in. obie wojny światowe, tragedię Hiroshimy i "dzień oczyszczenia", mówił obecny na festiwalu rzecznik tradycyjnych Hopiów Thomas Banyacya. (ZOBACZ OGŁOSZENIA)

Na uwagę zasługiwał też film "A Wave of Time" - godzinny portret czteropokoleniowej rodziny Nawahów, fotografowanej w roku 1938 i współcześnie, a z filmów krótkometrażowych: "The Teaching Rocks" - film o naskalnych rysunkach Odżibuejów oraz "Foster Child" - o odkrywaniu własnej przeszłości przez pozbawione rodziców metyskie dziecko.

Festiwal stał się także okazją do zaprezentowania fragmentów filmów z Willem Sampsonem i wręczenia jego rodzinie nagrody Instytutu Filmowego Amerykańskich Indian, którego był założycielem i dyrektorem. Odbyły się pokazy tradycyjnych tańców jego plemienia Krików, wystąpili Floyd Westerman i Shirley Cheechoo z Kanady, zaś indiańscy rzemieślnicy z Południowego Zachodu prezentowali i sprzedawali swoje wyroby.

■MN■



T a j e m n i c a b i a ł e g o c z ł o w i e k a

Pewien Indianin, który chyba wcale nie żartował, powiedział kiedyś:
- Największym z indiańskich problemów jest biały człowiek.

Któż zrozumie białego człowieka? Co sprawia, że jest taki zmienny? Jak myśli i dlaczego właśnie tak? Dlaczego mówi jedno, a robi zupełnie co innego? I najważniejsze, jak sobie z nim poradzic? Będąc Indianami musimy się nauczyć postępować z białym człowiekiem, bo - rzecz jasna - on tu pozostanie. Czasami wydaje się, że jest to zadanie ponad siły. Biały człowiek trwoni połowę życia i biliony dolarów, aby siebie zrozumieć. Jak przeciętny Indianin ma znaleźć odpowiedź?

Biały człowiek posiada kilka zalet. Przez stulecia zdołał wypracować pewne - możliwe do zaakceptowania - pojęcia moralności, sprawiedliwości, demokracji, wolności, równości itd. Żadne z tych pojęć nie jest nowe dla Indianina, przeciwnie - oczywiste i głęboko utrwalone w świadomości. Biały człowiek jest jednak paradoksalny. Z jednej strony wyznaje niemal fanatyczne przywiązanie do wzniosłych idei, a z drugiej - te same idee deprecjonuje w praktyce. Wierzy w pojęcie jedności. Wierzy w Boga i opowiada się za monoteistyczną religią. Okazuje się jednak, że nawet na płaszczyźnie religijnej, na której mógłby zaoferować najwięcej, tzn. zademonstrować jedność - biały człowiek jest absurdalnie podzielony. Głosi miłość i dobro bliźniego, a wytwarza napalm i bomby wodorowe - czy ktoś wątpi, że ich użyje?

Biały człowiek zachowuje się tak, jakby nie umiał zrozumieć albo nie chciał przyjąć faktu, że drugi człowiek może wierzyć inaczej, że religia drugiego człowieka może być równie ważna.

Wiem, że nie odkrywam niczego nowego o białym człowieku. Jednak nadal wprawia to Indianina w zakłopotanie. Biały człowiek poczuwa się do obowiązku modlitwy o zbawienie duszy bliźniego; kiedy jednak dusza ta nie chce się podporządkować - zostaje przymusowo skazana na wieczne potępienie. Głosząc braterską miłość i tolerancję, biały człowiek często automatycznie podkreśla, że jego jedynym miejscem wiary jest świątynia.

W doktrynach społecznych akcentuje swe przekonanie o równości /wszystkich/ i opowiada się za potrzebą i wartością różnorodności. Wystarczy go jednak tylko akonfrontować z ludźmi o innym kolorze skóry, czy z kilkoma innymi wartościami, aby się przekonał jak długo pozostanie orędownikiem różnorodności. Wierzy w równość, ale najwyraźniej przekonany jest, że biały jest równiejszy od Indianina. Doprawdy, trudno go zrozumieć. Studia nad białym człowiekiem stanowią rozległą dziedzinę badań dla przyszłych indiańskich psychologów i psychiatrów.

Większość nieporozumień między białymi a kanadyjskimi Indianami bierze się z lekceważenia istniejących różnic. Niektóre aspekty tej odmienności zostały szeroko omówione w artykule „Indianie i biali” póra dwu znanych amerykańskich antropologów, Rosalie H. Wax i Roberta K. Thomasa:

„Rozważania społeczne należą do tych dziedzin, w których najłatwiej dochodzi do nieporozumień między Indianami i białymi... Spośób radzenia sobie w trudnych i niebezpiecznych sytuacjach różnicuje białych i Indian już od dzieciństwa. Biały człowiek, znajdujący się

w niestabilnej, stresującej sytuacji, przyzwyczajony jest do wzmożonej aktywności. Podejmuje różne starania, aby uporządkować swoje sprawy, albo od nich uciec, czyli po prostu je ominąć. Natomiast Indianin, postawiony w takiej samej sytuacji, pozostaje niezmienny i obserwuje. Na zewnątrz okazuje niewzruszoną, za to w głębi duszy uruchamia wszelkie zmysły, aby odkryć, do czego się od niego oczekuje - jakie kroki są właściwe i bezpieczne. Można by to ująć tak: białego człowieka nauczono reagować na nową sytuację agresywnym eksperymentowaniem - będzie zabiegał tak długo, aż znajdzie satysfakcjonujący go układ. Jego motto brzmi: „Spróbuj jeszcze raz”. Indianin natomiast pokłada ufność w obserwacji. Czeki i przygląda się, aż inni aktorzy wskażą mu właściwe posunięcie.

Indianin będzie może spokojniejszy, jeśli sobie uświadomi, że beztroskie potoki słów wypływające z ust białego mają często pełnić rolę przyjacieleckiego, a przynajmniej towarzyskiego, gestu. Im bardziej biały człowiek czuje się nieswojo, tym jest rozmowniejszy. Nie obawia się tak bardzo popełniania błędów, jak Indianin; prawie niemożliwe /według indiańskiego punktu widzenia/ jest wprawienie go w zakłopotanie, czy też „zawstydzenie”. Tym samym, rzadko odnosi błędy, w pojęciu Indianina, do siebie...

W każdym związku między ludźmi występują elementy wpływu, ingerencji czy jawnego przymusu. Biały człowiek był i jest nadal rozdarty między dwie idee: z jednej strony wierzy w wolność, nieingerencję w cudze sprawy i prawo człowieka do decydowania o sobie, a z drugiej wierzy, iż powinien być opiekunem swego bliźniego i nie skąpić mu dobrych rad, a nawet podejmować działania, gdy ów bliźni stacza się prosto w zatracenie i śmierć... Społeczność indiańska jest jednoznaczna: wszelka ingerencja jest zabroniona...

W efekcie biały człowiek, postępując jako opiekun bliźniego, co ma najczęściej miejsce w kontakcie z Indianami, rzadko mówi i czyni to, co by nie było obraźliwe i wrogie dla tych ostatnich. Biały, powodowany poczuciem prawości w „pomaganiu uciskanemu i zacofoanemu”, nie uświadamia sobie charakteru swej opiekuńczości, a Indianin nie może mu tego powiedzieć, bo to - w istocie - byłoby „mieszaniem się” w wolność białego do robienia tego, co uważa za stosowne.”

Wnioski Wax i Thomasa sformułowane zostały dość ogólnie, tym niemniej ujawnia istotne różnice w kulturowym zbliżeniu codziennego życia, co obie strony muszą zrozumieć, jeśli „żelazna kurtyna” /Buckskin Curtain/ ma kiedykolwiek opaść. Autorzy mają oczywiście wiele więcej do powiedzenia niż kategorię uogólnienia, że Indianie są chorzy od słuchania. „Indiani” jest nieodpowiedzialny... Indianin jest leniwy... Jest ślamazarny i pozbawiony inicjatywy... Indianin ma skłonności do picia... Sam sobie winien... Indianin prowadzi rozwiąże życie... Na Indianinie nie można polegać...” Mity przetrwały. Uprzedzenia i fanatyzm kwitną. Ci, którzy wiedzą najmniej, krzyczą najgłośniej. Aż trudno uwierzyć, ale nawet w epoce spaceru człowieka po księżycu, są tacy, którzy nadal utrzymują, że Indianin jest, od urodzenia, istotą biologicznie nitazą.

Mimo prawości białego człowieka i pełnych oburzenia zapewnień, że nie żywi on żadnych uprzedzeń wobec Indianina, wiemy, że jego prawdziwe uczucia ujawniają się dopiero w czasie konfrontacji. Uwierzymy białemu człowiekowi, gdy jego działania pokrywają się ze słowami, jakie wygłasza.

Na szczęście Indianie są tak elastyczni, że potrafią zachować niewzruszoną postawę. Przetrwamy absurdalność fanatyzmu, zniewagi przesadnej opiekuńczości i wysoki „naprawiaczy świata”; pozwolimy sobie na to pogłębić i zbadać rany zadane naszym kobietom przez postawę białego człowieka wobec nich.

Słowo „squiew” w języku Indian Kri oznacza kobietę /albo panią, jeśli wolicie subtelniejszy z rot/. Żadne indiańskie słowo nie zostało tak zniesławione i ypaczone. W języku białego człowieka, „squaw” jest przekleństwem stosowanym do określenia każdej Indianki. Konotacja tego słowa nieodparcie kojarzy się z terminem „whore” /dziwka/, innym słowem, którego Indianie nie znoszą. Aby zrozumieć nasze uczucia, gdy musimy słuchać jak nazywacie squaw nasze żony, matki, przyjaciółki i córki, spróbujcie zaklasyfikować wasze **białe** żony, córki, matki i przyjaciółki pod wspólne miano dziwki.

Choć ciągle jesteście daleko przed nami w przewrotności i znie-
sławianiu naszych kobiet, to wcale nie przejmujecie się nazewnic-
twem. W zbyt wielu regionach, Indianki uważane są przez każdego wä-
żającego się białego kocura za łatwą zdobycz. Takim mianem nie
określa się nawet białej szmaty. Wielu bogobojnych, prawych i powa-
żanych białych obywateli klasy średniej wyraża obłudne zatroskanie
o rzekomo rozwiązłe życie Indian, a jednocześnie przymyka oczy na
wyczyny swych kochliwych synów, braci czy mężów.

Upokarzanie naszych kobiet przez bezmyślnych, okrutnych i po-
błażających sobie białych stanowi największą zniewagę wyrządzoną
naszemu ludowi. Społeczne instytucje białych Kanadyjczyków są ślepe
na ten proceder. Odwróćmy sytuację i spójrzmy, co by się stało.
Wyobraźmy sobie, że to młodzi Indiancy awanturnicy urządzają wypa-
dy na prowincję w poszukiwaniu białych dziewczyn dla łatwego pod-
boju. Moralność białego człowieka - podobnie jak jego rozdwojony
język - jest podwójna.

Nie wiemy, od czego zacząć naprawianie tej sytuacji. właściwym miejscem wydawałyby się instytucje prawa, ale wśród Indian mówi się, że „jeśli biały zgwałci Indiankę, to otrzymuje wyrok w zawieszeniu lub zostaje on ewinnony; ale kiedy Indianin zgwałci białą kobietę - dostaje karę chłosty i dożywocie”. Poza sugestią, że podwójne prawo zawiadnięto świętobliwymi urzędami kanadyjskiego wymiaru sprawiedliwości, można też naponomnąć o dostępie białych i Indian do kosztownej obrony prawnej, co reprezentuje kolejną przewrotność pojęcia równości.

Biali ludzie mają przed sobą długą drogę. Mogliby zacząć od zakazania używania słowa „squaw”. Indianki są równie moralne, co białe kobiety czy przedstawicielki innych ras. To cecha kulturalna, indywidualna, nie zaś kwestia rasy czy koloru skóry. Nasze ludy posiadały surowe kodeksy moralne nim jeszcze biały człowiek odkrył drogę przez ocean. W każdej chwili możemy zestawić cechy charakteru naszych dziewcząt z waszym najlepszym zespołem debiutantek.

O uprzedzeniu rasowym powiedziano już sporo. Amerykańskie księgarnie pełne są gorzkich, ale ciekawych książek napisanych przez utalentowanych Murzynów. Oto krok we właściwym kierunku, choć minie kilka następnych pokoleń ludzi dobrej woli i niespokojnego sumienia, aż czarna czy czerwona bariera uprzedzeń ulegnie zatarciu.

Indianie zaakceptowali białego człowieka w Kanadzie od samego początku. Przyjęliśmy jego odmienność. Pomagaliśmy mu przezwyciężyć trudności wynikające z przystosowania do życia w naszym środowisku. Uczyliśmy go poznawać nasz świat, unikać pułapek i zasadzek, zakładać sidła, polować i łowić ryby; uczyliśmy go żyć w nieznanym mu otoczeniu. Czy prośba do białego człowieka o wzajemność to tak wiele?

Indianin patrzy na naturę i widzi piękno - lasy, bagna, góry, trawy i jagody, kosa i polne myszy, szybującego orła i śmigającego kolibra, jaskrawe kwiaty i soczyste cebulki. Widzi potrzebę istnienia wszystkiego i widzi zbiorowe piękno, ale potrafi spojrzeć głębiej. Dostrzega piękno poszczególnych składników wielkiego obra-

zu. Dostrzega różnorodność elementów całej scenerii. Podziwia wdzik skaczącego jelenia, strzelistą prostotę /powalonych/ sosen, przez które skacze jelen, postrzępione, niebotyczne szczyty, nagie srebrzyste odbicie pstrąga w lustrze jeziora marszczonego przez wiatr. Nastawia wyczulone ucho na daleki, niesamowity lament nura i pobliskie pomruki niedźwiedzia rozdrapującego norkę ziemnej wiewiórki, i miesza te dźwięki z szeptem traw i śnielącą mową wysokich sosen. Czuje dotyk wiatru na policzkach i chłód mgły znad bystrzyny. Lustruje całą różnorodność natury i przekonuje się, że to jest dobre.

Indianin uważa, że tak samo mogliby postępować ludzie. Wie, że biali różnią się od Indian. Wie, że różnice istnieją nawet w obrębie tych większych grup; różnice między Szkotami i Ukraińcami, a także między Indianami Kri i Irokezami. Wie, że istnieją różnice między człowiekiem i jego bratem, czerwonym czy białym.

Dla Indianina jest to rzecz naturalna, tak jak powinno być, jak w samej naturze. Jak potok potrzebuje lasów, kwiaty - wiatru, jeleni - trawy, tak i ludzie potrzebują się nawzajem i mogą odkrywać w sobie dobroć. Indianie żyją bliżej natury, naturalne jest więc dla nich postrzeganie całego świata w kategoriach tego świata, w jakim żyją. Wiedzą, że ludzie różnych kultur i ras mają sobie wiele do zaproponowania. My oferujemy naszą kulturę i nasze dziedzictwo. Wiemy, że są inne niż nasze. Interesuje nas wasza kultura i wasze dziedzictwo; pragniemy byście odkryli nasze.

Przełożył Marek Maciołek

Encj. The Mystery of the White Man" Harolda Cardinala pochodzi z antologii NATIVE PEOPLES IN CANADIAN LITERATURE edited by William and Christine Howat. Copyright © 1975 The Macmillan Company of Canada Limited, Toronto.

SPLATANY WIOS ZE SWOJA WNUCZKA, (foto str 16-17)

Oślaniał uciekających ludzi Tępego Noża. Spłątany Włos, wódz Żołnierzy Psów pozostał z Północnym Szejenami aby dzielić cierpienia ludzi Tępego Noża. Kiedy Dzikі Odyniec został złapany przez żołnierzy i zakuty w kajdany, Spłątany Włos był jedynym, którego Szejenowie mogli posłuchać. Na niego spadł ciężar osłaniania tych, którzy uciekli z wzięcia Fortu Robinson. On i paru innych Żołnierzy Psów powstrzymywali wojsko dając ludziom czas na ucieczkę.

Portret ten zrobiono 25 lat po ucieczce, w której Spłątany Włos został ranny.

Fotografię wykonała Elizabeth C. Grinnell około 1902-1904 r.



Koyaanisqatsi

"Koyaanisqatsi" jest jednym z najdziwniejszych i najtrudniejszych do wymówienia tytułów w całej historii kina. Niczego nie wyjaśnia i niczego nie obiecuje. Natomiast plakat filmu zapowiada, że na ekranie zobaczymy świat, jakiego do tej pory nie widzieliśmy. Obłędna taka na pierwszy rzut oka może wydawać się przesadna i zbyt reklamowa. Obejrzenie filmu rozwiewa te obawy.

Utwór pod nazwą „Koyaanisqatsi” wymyka się opisowi. Bywają filmy, wobec których język jest bezradny. W przypadku „Koyaanisqatsi” ekranowa rzeczywistość wchłania bez reszty, osacza i przyciąga, dostarczając przeżyć niezwykle intensywnych, ale trudnych do wyartykułowania. Można by, oczywiście, analizować kadr po kadrze, sekwencję po sekwencji, ale byłoby wtedy tak, jak w znanej opowieści o ślepcach, którzy obmacując słonia po kawałku usiłowali zrelacjonować jego wygląd. Na odbiorcę tego filmu działa całość, a nie poszczególne elementy oddzielnie. Tak więc opis zastąpić musimy jedynie pewną ilością informacji i odwołaniem się do subiektywnych doznań piszącego. Reszta jest milczeniem – albo projekcją.

„Koyaanisqatsi” można określić jako rodzaj filmu dokumentalnego, w którym obraz został w sposób doskonały zespolony z warstwą dźwiękową, pozbawioną komentarza słownego. Utwór, precyzyjnie skonstruowany, ma budowę zbilansowaną do kompozycji muzycznej i podobnie też się go odbiera. Dynamika i rytm są tu niezmiernie ważne – przez prawie dwieście minut oglądamy niezwykle baletekranowy, oparty na znakomitych (tak, to nie przesada!) efektach wizualnych i akustycznych.

Świetność formy nie pełni jednak funkcji czysto estetycznej. „Koyaanisqatsi” to film poświęcony przede wszystkim przedstawieniu świata, a także tego, co człowiek ze światem zrobił i jak w tym świecie żyje. Obraz podzielono na dwie części – najpierw widzimy bezludne krajobrazy i rozmaite zjawiska atmosferyczne, potem oglądamy świat stworzony przez ludzi, świat wielkich, zatłoczonych metropolii i nie kończących się autostrad, świat współczesnej Ameryki. A także świat zwykłych czynności produkcyjnych i konsumpcyjnych, świat pojedynczych twarzy i świat przelewających się tłumów. „Cały ten ggieł” pokazany został przy zastosowaniu w wielu sekwencjach prostego, do-

brze znanego zabiegu, a mianowicie efektu ruchu przyspieszonego. Dotąd zabieg ten wykorzystywano głównie dla celów dydaktycznych (najczęściej pokazując rozwój roślin albo zarodków zwierzęcych), lub dla wywołania efektów komicznych. Zastosowanie go do transformacji obrazu prostych zachowań społecznych dało w rezultacie to, co zapowiada plakat filmu: niecodzienną, zaskakującą wizję naszej zwykłej, ludzkiej codzienności. Podobnie jak mikroskop czy teleskop zmieniają sposób istnienia świata w przestrzeni, tak film dokonuje osobliwego cudu, pozwalając nam przeżywać rzeczywistość, która tylko tym (ale i aż tym) różni się od zwyczajnej, że czas płynie w niej szybciej. Wkraczamy przez to jakby na wyższy poziom świadomości, a cała nasza percepcja ulega poszerzeniu.

Rozważania dotyczące relacji czasu i świadomości nie należą do łatwych. O czasie powiedziano kiedyś, iż tak długo wiemy czym jest, dopóki nie zaczynamy bawić się w wyjaśnienia. Ujmując więc sprawę najprościej można powiedzieć, że w „Koyaanisqatsi” przez zmianę biegu czasu udało się wiele czynności ludzkich pokazać w zupełnie nowej formie, co podważyło ich zwyczajny, rutynowy sens. Początkowo to bawi, potem zaczyna zmuszać (dosłownie zmuszać, nie można się temu oprzeć) do myślenia o naszych najprostszych działaniach, o tym, co robimy codziennie. Cowynika z tej straszliwej karuzeli, dokąd prowadzi przyrost przyspieszenia, jakie konsekwencje pociąga za sobą coraz większe zagęszczenie? I nie jest to wyzwanie dyskursywne, ale wręcz sensualne. To obraz, dźwięk i ruch, to narastanie tempa stwarza przymus intelektualny ponownej analizy spraw pozornie tylko prostych i banalnych. Ale mimo specyficznych zestawień obrazowych „Koyaanisqatsi” nie jest jeszcze jednym, kolejnym filmem katastroficznym, negującym optymistyczną wizję postępu, uświadamiającym nam zagrożenia wytworzone przez działalność człowieka i nawołującym do opamiętania. Ani też filmem straszącym nas koszmarami, jakie może przynieść przyszłość, jak to się obecnie robi w kinie i literaturze typuscienc-fiction. A jeśli nawet trochę jest, to w całkiem inny sposób. Utwór ten pokazuje nam jedynie w osobliwej optyce nasze „dziś”, to, jak żyjemy i co robimy, tyle tylko, że wrażenie jakie wywiera, jest silniejsze niż po lekturze raportów „Klubu Rzymskiego”.

Na samym końcu filmu (plansze) wyjaśnione zostaje znaczenie słowa użytego w tytule oraz słów występują-

cych w dziwnych i nastrojowych pieśniach, które towarzyszą obrazowi. Twórcy filmu odwołują się do języka Indian Hopi. Plemię to, należące do grupy Pueblo, zamieszkuje Arizone, zajmuje się uprawą roli i powoli wymiera (parę lat temu liczebność członków plemienia nie przekraczała dwóch tysięcy). Jego wierzenia i ceremonie rytualne (tajemniczy taniec węzłów) pasjonują badaczy kultur przeszłości. Słowo „koyaanisqatsi” ma w języku Hopi wiele znaczeń. Może to być „życie szalone” lub „życie w podnieceniu i zgileku” lub „życie pozbawione równowagi”. W mitologii Hopi można znaleźć złośliwie przepowiednie (o tym właśnie śpiewa się w filmie), że „jeśli wykopemy z ziemi cenne rzeczy, nadsięgną katastrofę”. Mówi się też, iż „pewnego dnia może spaść z nieba naczynie z popiołem, które spali ląd i doprowadzi do wrzenia oceanu”. W Europie jesteśmy przyzwyczajeni do innych proroców, takich jak przepowiednie sybilskie czy Centurie Nostradamusa, natomiast Amerykanie ulegają bardziej tradycjom własnego kontynentu, o czym świadczy choćby żywotność przekleństwa Ino Moxo. Nie wiem, na ile poważnie twórcy filmu traktują wierzenia Hopi, ale w filmie wykorzystali, je zaskakująco.

Reżyser filmu, Godfrey Reggio, realizował swoje dzieło przez wiele lat (pomysł zrodził się w 1974, film ukończono w roku ubiegłym). Pomagał mu w tym Dawid Monogye, stuletni Indianin, jeden z wielkich strażników tradycji plemienia Hopi. Kompozytor, Philip Glass, mający wiele osiągnięć w zakresie muzyki teatralnej, filmowej, operowej i baletowej, był w pełnym tego słowa znaczeniu współtwórcą filmu, któremu poświęcił trzy lata pracy. Ron Fricke robił zdjęcia w 14 stanach USA i jest autorem specjalnych efektów fotograficznych. „Koyaanisqatsi” powstał poza wielką machiną filmową Ameryki – jego producentem był Institut for Regional Education w Santa Fe (Nowy Meksyk). Tak oto zrodził się utwór ważny nie tylko dla historii kina, ale także istotny dla zrozumienia i kształtowania świadomości współczesnego człowieka.

„Koyaanisqatsi” – prod. USA, 1983. Scenariusz – Ron Fricke, Godfrey Reggio, Michael Hoenig, Alton Walpole, reżyseria – Godfrey Reggio, zdjęcia – Ron Fricke, muzyka – Philip Glass.

JERZY SCHÖNBORN

OGŁOSZENIA

● Redakcja dysponuje kaseta video VHS z dokumentalnym filmem Kiyoshi Miyaty „PROROCSTWO HOPIÓW” /75 min./ Informacji o możliwościach jej udostępnienia udziela Marek Nowocień, Os. XX-lecia 48/14, 57-200 Zabkowice Sl. Poszukujemy też dobrej kopii filmu „Przerwana tęcza”.

● Nasi nowi korespondenci z ZSRR!

Trochę czytam po polsku, chciałabym korespondować z tymi, którzy jak ja interesują się Czarnymi Stopami. Mam 19 lat.

197042, CCCP

Ленинград

Офицерский переулок, 3/5

кв.7

Тихонова Елена

Na prośbę, podajemy również oryginalne /niezpolaszczone/ zapisy adresów grup z ZSRR przedstawionych w TAWACINIE nr 8.

193036 СССР

г. Ленинград

ул. 1 Советская 12 кв 54

Иванову Сергею

Nazywam się Martwy Bizon, mam 17 lat i także zajmuję się Czarnymi Stopami. Zaczęłam samodzielnie uczyć się polskiego, rysuję, uczę się w szkole plastycznej w Kijowie /będę projektantem/.

245780, УССР

Сумская обл.

г.Коропел

пл. 50 Лет Октября,6

кв.27

Иванченко Михаил

630009 СССР

г. Новосибирск

а/я 541

Фонд молодежной инициативы
НКИ "Содействие"

